

## Gdy szczęście innych jest ważniejsze od mojego

Po bardzo ciężkim dniu wracasz do domu i już nie możesz się doczekać, kiedy weźmiesz długi prysznic i położysz się spać. Nagle dzwoni telefon – jeden z twoich znajomych namawia cię do wspólnego wyjścia na miasto. Nie masz na to ochoty, ale obawiasz się, że jeśli się nie zgodzisz, spotkasz się z dezaprobatą. Brzmi znajomo? To porozmawiajmy o „people pleasing”.

Syndrom ten jest przedmiotem badań wielu psychologów już od lat 80. poprzedniego wieku. To właśnie wtedy m.in. amerykański naukowiec Stephen Briggs, zdefiniował go jako zmienianie swojego zachowania w celu uszczęśliwienia innych. Wyjaśnienie to może być jednak zbyt ogólne – w końcu osoby tak postępujące mogą być po prostu bezinteresowne. Istotnym szczegółem jest to, że „people pleasing” polega na stawianiu potrzeb oraz dobrego samopoczucia innych ponad naszym – niezależnie od sytuacji.

### Nieszkodliwa przypadłość?

W naszej kulturze jesteśmy przyzwyczajani do bycia miłym dla każdego. Ustępowanie miejsca innym w autobusie, przeprowadzanie przez pasy, dzielenie się jedzeniem – wszystkie te sytuacje sprawiają, że postrzegamy innych w lepszych barwach. Dlatego na pierwszy rzut oka trudno jest rozpoznać, gdzie występuje problem. Nie powinniśmy oczywiście myśleć, że zwykła uprzejmość jest przejawem czegoś niepokojącego. Czerwona lampka powinna zapalić się jednak w momencie, gdzie serdeczność czy dostępność dla innych staje się wewnętrznym ciężarem.

Zadowolanie innych kosztem siebie obejmuje bardzo szerokie spektrum zachowań. Najłagodniejszym wymiarem może być przeproszenie za rzeczy, które nie wyrządziły nikomu szkody lub zachowywanie swojej opinii dla siebie w obawie przed reakcją innych. Nie musi to dotyczyć poważnych tematów – cza-



„People-pleasing” to problem, z którym zmagają się coraz więcej osób

sem problematyczne może okazać się nawet odmienne zdanie na temat ulubionego serialu. Niektóre badania sugerują również, że objawem tego syndromu może być również ponadprzeciętne reagowanie na posty znajomych w mediach społecznościowych (co badał np. profesor Shu-Yueh Lee z University of Wisconsin Oshkosh).

„People pleasing” może jednak przyjmować bardziej niebezpieczne formy. Ciche przyzwolenie na używki u partnera lub nawet zgadzanie się na przyjmowanie ich pod naciskiem innych. Angażowanie się w jakiegokolwiek ryzykowne sytuacje. Tolerowanie krzywdzących zachowań czy komentarzy kierowanych pod swoim adresem. Osoby mające problem ze stawianiem granic podświadomie wolą narazić swój dobrostan i bezpieczeństwo, byle tylko uzyskać akceptację innych.

### Skąd się to bierze?

Pozwalanie na naruszanie swoich granic to w pewnym sensie taktyka obronna. Zazwyczaj (choć nie tylko) używana jest przez ludzi wysoko wrażliwych, którzy każdą emocję, zarówno dobrą, jak i złą przeżywają o wiele intensywniej od ogółu społeczeństwa. Osoby te mogą bardzo mocno angażować się w relacje, a jakiegokolwiek konflikt i ich potencjalne kon-

sekwencje wydają się im poważniejsze, niż są w rzeczywistości. Wynika to głównie z niezdrowego stylu przywiązywania się do ludzi – strach przed odrzuceniem, często doświadczany już w dzieciństwie, w pewnym sensie zmusza „people pleaserów” do spełniania oczekiwań innych ludzi. Często jednostki te wykazują również takie cechy jak neurotyczność czy niskie poczucie własnej wartości.

Ponadto tendencje do zadowolania innych obserwuje się u osób po traumatycznych przeżyciach, pochodzących z dysfunkcyjnych domów oraz zmagających się ze stanami lękowymi lub depresją. Nawet jeśli są one w stanie rozpoznać u siebie ten toksyczny mechanizm, porzucenie tej postawy jest niezwykle trudne i wymaga ogromnego wkładu pracy nad sobą. Nie pomagają tutaj również fakt, że często zachowania te są normalizowane przez społeczeństwo – jak zauważa psychoterapeutka Katarzyna Miller w rozmowie z magazynem Zwierciadło, otoczenie nagradza uszczęśliwianie innych już od najmłodszych lat życia człowieka.

### Jak z tym walczyć?

Każdy przypadek jest indywidualną kwestią, dlatego nie ma jednej recepty na zaprzestanie kompulsywnego „people-pleasingu” – pewnym jest jednak, że

regularna terapia pod okiem psychologa może pomóc w wypracowaniu zdrowszych mechanizmów radzenia sobie z sytuacjami stresowymi czy funkcjonowaniem w grupie. Czasem specjalista może skupiać się na podnoszeniu poziomu samooceny pacjenta lub pracowaniu bolesnych przeżyć z przeszłości. Pamiętajmy, aby nie bać się, prosić o pomoc i korzystać z dostępnych opcji, włączając w to również poradnie studenckie. Na terenie naszej uczelni za pomoc psychologiczną odpowiada Poradnia Rozwoju i Wsparcia Psychicznego, zlokalizowana w domu studenckim „Hanka”. Wizytę można umówić się telefonicznie pod nr 61 829 24 94 lub 539 026 422. Praca nad sobą z pewnością pomoże rozwinąć umiejętności stawiania i przestrzegania własnych granic oraz zdrowego reagowania na sprzeciw innych. Oczywiście, będzie wymagało to sporej cierpliwości, lecz w dłuższej perspektywie pozwoli na pozbycie się uczucia frustracji i wewnętrznego konfliktu.

Jeśli czujecie, że syndrom „people pleasingu” może was dotyczyć – pamiętajcie, że słowo „nie” nie jest tak straszne, jak może się wydawać. Może nawet zdacie sobie sprawę, że jest waszym najlepszym przyjacielem?

**Karolina HAŁABIŚ**  
karhal2@st.amu.edu.pl



„Lubię robić rzeczy, których nie muszę robić”.  
s. 3

### Polecamy



Przez czas i przestrzeń  
s. 4



Bajkowa, brutalna wieś  
s. 6



Dokąd zmierzasz Pudzianie?  
s. 8

## Od redakcji

Drodzy czytelnicy, Dni już coraz krótsze, poranki coraz ciemniejsze, a listopadowa aura nieustannie zachęca do wskoczenia pod ciepły koc. Nasi redaktorzy pod koc owszem wskazują, ale zaraz na kolanach kładą laptopy, by tworzyć kolejne artykuły. W najnowszym numerze BUCa zagłębiamy się w nasze psychologiczne zakamarki, przyglądając się zjawisku „people pleasing”. Rozmawiamy z najstarszym studentem UAM o jego doświadczeniach i planach na przyszłość, a także odwiedzamy i oceniamy poznański Animecon. Analizujemy również obecną sytuację w Izraelu i Palestynie. Standardowo nie zapominamy o muzyce i filmach. W listopadowym wydaniu przeczytacie recenzję „Chłopów”, najnowszego albumu Darii Zawiałow oraz płyty Royal Blood, a nawet najnowszych brzmień The Beatles - częściowo przywróconych do życia dzięki sztucznej inteligencji. Natomiast w dziale sportowym znalazły się artykuły o karierze Mariusza Pudzianowskiego oraz doskonałej formie Igi Świątek. Życzę dobrej, jesiennej lektury!



Redaktor naczelna  
Daria Bajorek

## Redaktor miesiąca



Jakub Marciniak  
Hejka, tu Kuba, interesuję się literaturą, historią, gram na instrumentach. Jestem na trzecim roku dziennikarstwa, a do BUCa pi-  
szę już od ponad roku.

Eskalacja trwającej ponad 70 lat wojny między Izraelem a Palestyną wstrząsnęła opinią międzynarodową. Wypowiedzi dotyczące konfliktu są zazwyczaj bardzo stronne, demonizujące określony naród jako ten antagoniczny. Co należy wiedzieć, zanim zabierze się głos w rozmowie o tak wstrząsającym konflikcie?

6 października – to bardzo znana data w historii Izraela. Dokładnie 50 lat od daty ataku Hamasu na terytorium Izraela miał miejsce Jom Kippur. To 18-dniowa, brutalna wojna, którą rozpętał sojusz Egiptu i Syrii, przekonany, że w dzień święta większość żołnierzy będzie na przepustkach, co ułatwi wygraną. Dziennikarz Awi Issacharof, dzień po ataku wskazał, iż nawet sposób działania został powielony. Zarówno 50 lat, jak i miesiąc temu, kilka dni przed atakiem pojawiały się jawne sygnały o przygotowaniach, o czym informowała PAP. Pół wieku wcześniej były to doniesienia, a obecnie wzmoczone demonstracje przy oddzielającym Strefę Gazy od Izraela płocie, mające na celu odwrócić uwagę wojska izraelskiego od prowadzonych przez Hamas „ćwiczeń”.

Jom Kippur było istotne ze względu na intensywność, okrucieństwo oraz ogromne straty, jakie poniósł z tego tytułu Izrael. Przypomnienie narodowi jego największej traumy można jednak zrozumieć dopiero, gdy pozna się także historię Palestyny.

### Kompensując kolonizację

Sto lat temu Żydzi nie posiadali swojego państwa. 2 listopada 1917 roku brytyjski minister do spraw zagranicznych, Artur Balfour zapisał 67 krótkich, ale miażdżących ówczesny status quo, słów, które rozpoczęły konflikt, trwający do dziś. Znana obecnie jako Deklaracja Balfoura wypowiedź wskazuje, że w Palestynie miał zostać ustanowiony azyl, dom dla ludności żydowskiej. Tak też się stało: 14 maja 1948 roku powstał w końcu uznany przez inne narody kraj dla walczących o swoją ojczyznę Syjonistów. Jakim kosztem został przyjęty jednak ten akt?

Rezolucja 181 Organizacji Narodów Zjednoczonych mówiła o podziale Palestyny na kraj arabski oraz żydowski. Operacje, które miały miejsce tytułem realizacji celów tej umowy międzynarodowej, nie były jednak tak pokojowe, jak powinny. Pomiędzy 1947 a 1949 rokiem więcej niż 500 palestyńskich miejscowości zostało zniszczonych w wyniku działań wojsk izraelskich, co w historii określane jest mianem Nakba, czyli katastrofy w języku arabskim. Określenie to nie jest jednak dostatecznie wymowne, aby wyrazić, że aż 78% historycznej Palestyny zostało zajęte przez Syjonistów – jak wskazują specjaliści arabskiej stacji Al Jazeera. Pozostałe 22% terytorium zostało podzielone na terytoria obecnie okupowanego Zachodniego Brzegu oraz Strefę Gazy. Około 750 tysięcy Palestyńczyków zostało wówczas pozbawionych domów.

## Ziemia obiecana, ziemia odebrana



Wojna i okupacja nie dotyczą obywateli, a okrutnej polityki

Aktualnie Palestyna – według raportu A/HRC/49/87 Rady Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych z 12 sierpnia 2022 roku – jest już 56 rok pod okupacją Izraela w świetle prawa międzynarodowego publicznego. We wskazanym dokumencie przedstawiciele rady określają sytuację humanitarną w Palestynie jako „antytezę międzynarodowego prawa humanitarnego”. Także przekonania aktywistów oraz edukatorów takich jak Slow Factory Foundation czy Eye On Palestine, podkreślają jeszcze dobitniej przekonanie, iż pojęcie konfliktu jest zupełnie nieadekwatnym. Działalność Izraela wykazuje cechy okupacji oraz kolonizacji, charakteryzujących się odbieraniem terytorium państwowego, militarną okupacją oraz czystkami etnicznymi.

### Gdzie zaczyna się przemoc?

Kolejne pokolenia Palestyńczyków, które pochodzą z ziem obecnie stanowiących terytorium Izraela, stanowi sześć milionów uchodźców. Mieszkają w większości w niegodnych warunkach na terenie Palestyny, jak i w Syrii, Jordanii, Egipcie czy Libanie. Ograniczenie przestrzeni oraz zmiana jej przynależności narodowej stanowiły przyczynę coraz okrutniejszych działań ze strony Hamasu oraz innych ugrupowań wyzwolenczych.

Skalę problemu można lepiej zrozumieć przy pomocy raportów Rady Praw Człowieka ONZ. W raporcie A/HRC/35/30/Add.1 dotyczącym przemocy przeciwko kobietom wskazuje się, iż najczęstszymi ofiarami zabójstw kobiet w Izraelu są te o pochodzeniu palestyńskim oraz Beduinki. Wskazuje się, że około 70 tysięcy Palestynek doświadczyło przemocy fizycznej, dewastacji mienia czy molestowania ze strony mieszkań-

ców, z wyszczególnieniem wojska izraelskiego.

Równie istotne wydają się tutaj raporty Amnesty International (AI) – w raporcie z 2014 roku „Trigger-Happy: Israel's use of excessive force in the West Bank” przedstawione są doświadczenia przemocy czy opis mordów dokonanych na osobach palestyńskiego pochodzenia ze względu na ich wyznanie czy dążenie do swobodnej wypowiedzi. W raporcie MDE 15/032/2014 AI z tego samego roku wskazano, że przez ataki z powietrza wojska izraelskiego zmarło łącznie około 111 Palestyńczyków.

Powyższe dane są jedynie czubkiem góry lodowej wydarzeń oraz ataków, które miały miejsce na przestrzeni ostatnich pięciu dekad na terenie Palestyny. Sam szef ONZ, Antonio Guterres wskazał w swojej wypowiedzi z 24 października, że „ataki Hamasu nie wydarzyły się w próżni”.

Zawiłość problemu, brak odpowiedzi na zalecenia organizacji międzynarodowych ze strony Izraela, gwałtowne odpowiedzi Hamasu, a także czas trwania ataków sprawiają, że odcina się od myśli, że cierpią przede wszystkim cywile – ludzie, rodziny, chcące zaznać spokoju i szczęścia. Należy zgodzić się jednak z myślą wyrażoną w „Przewodniku po źródłach medialnych” Stowarzyszenia Dziennikarzy Arabskich i Bliskiego Wschodu, iż mówiąc o konflikcie, należy pamiętać o kontekście sytuacji oraz o tym, że myślenie o obu stronach jako równych sobie jest niesprawiedliwością; Palestyna nie posiada formalnie utworzonego wojska, natomiast Izrael jest jednym z najlepiej zmiilitaryzowanych państw na świecie.

Karolina GOŁASZEWSKA  
kargol7@st.amu.edu.pl



**Wydawca**  
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa  
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza  
w Poznaniu  
ISSN 1642-1140  
**Redakcja**  
Wydział Nauk Politycznych  
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,  
pokój 144, 61-614 Poznań  
e-mail: teksty.buc@gmail.com

**Redaktor naczelna**  
Daria Bajorek  
**Zastępca redaktora  
naczelnego**  
Wiktor Kępiński  
**Sekretarz redakcji**  
Karolina Hałabiś  
**Numer makietaowała**  
Izabela Tomaszewska

**Wydawca numeru**  
Daria Bajorek  
**Redakcja merytoryczna:**  
Karina Szymczak  
Hanna Yankouskaya  
**Korekta**  
Maria Lutkowska  
Alicja Melanowicz  
Natalia Rogowska  
Izabela Tomaszewska  
**PR i Social Media**  
Karolina Hałabiś

Dominik Janicki  
Karina Szymczak  
Hanna Yankouskaya  
Korekta  
Maria Lutkowska  
Alicja Melanowicz  
Natalia Rogowska  
Izabela Tomaszewska

**Redakcja**  
Daria Bajorek  
Natalia Budna  
Bartosz Chałupka  
Karolina Gołaszewska  
Milena Guzik  
Karolina Hałabiś  
Dominik Janicki  
Bartosz Kabaciński

Wiktor Kępiński  
Michał Kubisiak  
Julia Kwaśniewska  
Kamil Kwiatkowski  
Maria Lutkowska  
Jonasz Ławniczak  
Magdalena Maciejewska  
Bartosz Maluśki  
Agata Mania

Paweł Mańkowski  
Jakub Marciniak  
Mateusz Markiewicz  
Alicja Melanowicz  
Olga Michalska  
Michał Rzeźnik  
Emilia Szobodzińska  
Karina Szymczak  
Izabela Tomaszewska

Kinga Wiśniewska  
Michał Wybrański  
**Autor logo**  
Andrzej Szymczak  
**Opieka nad redakcją**  
Aleksandra Konieczna  
Lesław Ciesiołka  
**Skład komputerowy**  
Tomasz Szukala

**Druk**  
Drukarnia w Bydgoszczy  
ul. Grunwaldzka 229  
85-438 Bydgoszcz  
Redakcja zastrzega sobie prawo  
do redagowania i skracania  
nadesłanych tekstów.

Mówią, że na naukę nigdy nie jest za późno. 76-letni Pan Zenon, który na początku października obronił pracę magisterską z kroatystyki, a teraz kontynuuje studia na archeometrii na Wydziale Chemii, jest tego żywym przykładem. Zapytaliśmy go o to, czy dużo się uczy, jak dogaduje się z kolegami i kadrą profesorską, jak wyglądają kulisy jego kariery medialnej i co robił na Erasmusie.

**Z wykształcenia jest Pan chemikiem, ekonomistą oraz inżynierem budownictwa, skąd więc wziął się pomysł by ponownie, już na emeryturze, udać się na studia dzienne?**

– Jak to zwykle w życiu bywa, przez przypadek dowiedziałem się, że mimo iż od paru lat byłem już na emeryturze, mogę jeszcze iść na studia. Co więcej, byłem zachęcany, aby na nie pójść, ponieważ kierunek nie cieszył się wielką popularnością. Na początku się zdziwiłem, jednak po dłuższym namyśle stwierdziłem, że skoro nie mam jakichś specjalnych obowiązków, dzieci i wnuki są dorosłe, to dlaczego nie? Jestem wolnym człowiekiem, mam dużo czasu, całe życie zawodowe spędziłem w ruchu, więc żeby „nie gnuśnieć”, postanowiłem zrobić coś, co będzie dla mnie atrakcyjne i będzie dawało jakąś satysfakcję. Nie pójdę już nigdzie do pracy i żadne dalsze wykształcenie nie jest mi potrzebne, ale ja po prostu lubię robić rzeczy, których nie muszę robić.

**Jak, na podjęcie przez pana decyzji o rozpoczęciu studiów dziennych, zareagowała Pana rodzina?**

– Byli zdziwieni jak wszyscy dookoła, jak ja sam, ale zareagowali bardzo pozytywnie. Nikt mi nie kreślił tzw. kółek na czołe. Miałem wsparcie. Moje szczęście polega na tym, że moja najmłodsza córka jest doktorantką na Uniwersytecie Przyrodniczym. Doskonale się rozumiemy pod wieloma względami, mamy podobny sposób myślenia, patrzenia na wiele rzeczy i tak się złożyło, że jak co roku byliśmy w Alpach i któregoś dnia powiedziałam jej, że dzwonili z UAM, że jest taka propozycja, czy bym się nie zarekrutował, a ona od razu do mnie – „nad czym się zastanawiasz?”. No to się nie zastanawiałem i w tym samym dniu, złożyłem wszystkie papiery do rekrutacji.

**Czy było trudno? Ile czasu poświęcał Pan na naukę?**

– Jestem ścisłowcem, lubię myśleć tak fizyczno-matematycznie, natomiast tutaj na filologii jest to wydział zupełnie innego kalibru, gdzie nie zawsze dwa plus dwa daje cztery. Większość rzeczy zależy od czyjejś interpretacji. Na pierwszych zajęciach lektor orzekł, że stratą czasu byłoby zaczynanie lektoratów razem z licencjatami i lepiej, żeby od razu chodził z bardziej zaawansowaną grupą magisterską. Tak się też stało, co prawda baza wiadomości studentów, którzy byli po licencjacie była znacznie szersza, a ja musiałem to wszystko nadrobić, ale nie sprawiło mi to większych problemów. Nie poświęcałem specjalnie dużo czasu na naukę, jednak myślę, że szło mi całkiem dobrze, bo moja średnia za studia z dyplomem i tym wszystkim wynosi 5.00.

**No to nawet bardzo dobrze.**

– Uczylem się tyle, ile było potrzeba. Byłem na wszystkich zajęciach i starałem się być zawsze przygotowany. Gdy któryś z profesorów polecił coś przeczytać, to starałem się z tym zapoznać, żeby na następnych zajęciach potrafić zabierać głos, mając pojęcie na dany temat. Dlatego nie musiałem specjalnie jakoś siedzieć i zakuwać. Myślę, że nie byłem najgorszy, a swój przedział wiekowy reprezentowałem w sposób godny.

**Jak wyglądały Pana relacje z kolegami i koleżankami z roku – czy były momenty, kiedy ktoś pomylił pana z jakimś profesorem?**

– Jak zaczynałem studia, wszyscy chodziliśmy jeszcze w maseczkach. Był taki moment, że na samym początku jak wchodziłem do „Maiusa”, studenci, a szczególnie studentki, przez pierwszy miesiąc podnosiły się posłusznie z ławek, kłaniając się i witając mnie słowami „dzień dobry panie profesorze”. Musiałem długo tłumaczyć, że ja jestem na tym samym poziomie na uczelni co one. Podobnie zresztą było w szatni. Pani szatniarka też chyba przez miesiąc nie mogła pogodzić się z tym, że jestem studentem.

**A jakie podejście do tego wszystkiego mieli pańscy wykładowcy?**

– Komicznie też bywało zawsze na początku – jak wchodziłem i widzieli jakiegoś faceta, który tam siedział, zresztą miałem

## „Lubię robić rzeczy, których nie muszę robić”



Praca magisterska 76-letniego Pana Zenona Lenczewskiego nosi tytuł „Grafitti jako sztuka niepamięci”

jeszcze koleżankę, kilka lat ode mnie młodszą, i widzieli taką dwójkę, to chcieli się cofać do drzwi, bo nie za bardzo wiedzieli, o co chodzi. Czy Pani Rektor Kaniewska wszczęła jakąś kontrolę, czy przyjechał ktoś z ministerstwa, bo później podejście mieli jak do każdego studenta.

**Co skłoniło Pana do udziału w projekcie Erasmus, jakie to było doświadczenie z pana perspektywy?**

– W przerwie międzysemestralnej w lutym wyjechałem do Zagrzebia w ramach programu IDUB, miałem w głowie pewien temat pracy magisterskiej i chciałem pozbiierać materiały. Gdy wróciłem, rozmawiałem z moją promotorką i zaproponowała, żeby to rozszerzyć, więc pomyślałem, „dlaczego nie?” i zapisałem się na Erasmusa. Miałem pojechać tylko do Chorwacji, jednak po ponownym krótkim pobycie w Zagrzebiu, stwierdziłem, że to jest jeszcze za mało i pojedę dalej. Byłem w Serbii, w Bośni i bardzo mi się podobało. Na tyle dobrze znałem język, że mogłem się wszędzie porozumieć, wszędzie się poruszać. Uwielbiałem szczególnie chodzić na mecze, np. jak byłem w Osijeku, chodziłem na NK Osijek, trenowanego wtedy przez byłego trenera Lecha Poznań – Nenađa Bjelicę, do którego kibice mieli pretensje. Tworzyłem z nimi jedną masę, do tego stopnia, że później wspólnie chodziliśmy do baru czy na jakąś kolację. Myślę, że było to wspaniałe doświadczenie, a dla rozwoju języka po prostu bezcenne.

**Zostawiając naukę – co Pan robi, by utrzymać tak znakomitą kondycję? Uprawia Pan jakiś sport?**

– Od lat jeżdżę codziennie na rowerze, niezależnie od pogody. Rocznie przejeżdżam około 10-12 tys. kilometrów. To jest moja norma. Oczywiście jak każdy sportowiec, staram się to dokumentować w aplikacji w telefonie. Poza tym biegam na nartach i jeżdżę na łyżwach. Wydaje mi się, że to mi pomaga, bo nie chorowałem np. na grypę od wielu lat.

**Pojawiał się już Pan w telewizji, wielu różnych gazetach. Czy to już ten etap, kiedy ludzie zatrzymują się na ulicy i proszą o wspólne zdjęcie?**

– Zdjęć sobie nikt nie robi, na razie... znaczy, mam nadzieję, że na stałe. Wszystko zaczęło się w zeszłym roku, kiedy koleżanka z „Życia Uniwersyteckiego” opisała mój udział w projekcie Erasmus. Ktoś z „Głosu Wielkopolskiego” to pod-

chwycił i rozeszło się to w szeroki świat. Nagle zaczęli do mnie wydzwaniać z wielu redakcji, prosić o jakiś wywiad... No i ta fala popłynęła, szczególnie po występie w „Pytaniu na Śniadanie” z Kasią Cichopek, ludzie dookoła jakby powariowali, tak to się po prostu rozeszło. Jest to uciążliwe, ja wolę być w cieniu, jednak zawsze starałem się być życzliwy i pomocny.

**Jak Pan uważa, w jaki sposób można zachęcić większe grono pańskich rówieśników do studiowania?**

– W Poznaniu mieszka prawie 150 tys. osób 60+. Spora część z nich, to ludzie o wielkim potencjale intelektualnym, np. profesorowie, znakomici inżynierowie czy lekarze. Tych wszystkich ludzi często traktuje się jak jedną masę, która ma w głowie tylko najeść się, pomodlić i wyspać. Nie ma dla nich żadnej poważnej oferty. Często kiedy są organizowane jakieś spotkania, to jako atrakcje przedstawia się gry planszowe lub ping-ponga. Umówmy się, w maratonach bierze udział mnóstwo ludzi, którzy mają powyżej 50 czy 60 lat, to nie są pojedyncze przypadki, to jest norma, a tu się ludziom oferuje tego typu głupoty. Często można usłyszeć o Uniwersytecie trzeciego wieku, tylko już sama nazwa jest deprecjonująca, sugerująca, że należy traktować jego uczestników z przyzwyczajeniem oka. Ci ludzie, którzy przechodzą na emeryturę, chętnie by jeszcze coś intelektualnie twórczego porobili, ale nie mają takich możliwości.

**Po obronie pracy magisterskiej zdecydował się Pan pozostać na studiach dziennych, tym razem na Archeometrii na Wydziale Chemii. Dlaczego akurat ten kierunek?**

– Stwierdziłem, że skoro jestem sprawny, to mogę się jeszcze czymś zająć. Poprzednio tej chemii nie skończyłem, więc stwierdziłem, że fajnie by było to nadrobić w powiązaniu z archeologią. „Kręci” mnie to, ponieważ dużo podróżowałem. Byłem w sumie w ponad siedemdziesięciu krajach i zawsze lubiłem chodzić po jakiś wykopaliskach czy muzeach, więc kierunek od razu mnie zainteresował i mam nadzieję, że uda mi się dobrać do końca.

**Dziękuję za rozmowę!**

**Dominik JANICKI**  
domjan17@st.amu.edu.pl

# Przez czas i przestrzeń

Są muzycy, których nie jest trudno zaszukadkować w obrębie konkretnego gatunku. Są też tacy, którzy zupełnie wymykają się takim podziałom. Do tych drugich należy Daria Zawiałów, która jakby na przekór sama siebie na nowym albumie określa „Dziewczyną Pop”. I to pomimo najbardziej gitarowego materiału, jaki dotychczas nagrała.

Nietrudno już po choćby pobieżnym zapoznaniu się z płytą stwierdzić, że tytuł to ledwie igraszka. Zawiałów balansując na granicy rocka i popu to jedna strona medalu, a fakt wewnętrznej przynależności artystki to druga. Trzymajmy się więc tego, że Daria to faktycznie „Dziewczyna Pop”, która zaprasza was na trzyrozdziałowy i bardzo osobisty roadtrip.

## Autostopem przez życie

Po japońskich klimatach „Wojen i nocy”, teraz główną inspiracją były Stany Zjednoczone. To Ameryka Północna stała się gruntem dla najbardziej personalnej wyprawy wokalistki z Koszalina. Na „Dziewczynie Pop” mniej jest zawołanych w metafory prawdy życiowych, a więcej czystych emocji i historii, które urzekają swoją prostotą. Niezbyt skomplikowany, a jakże trafiony jest też podział kompozycyjny całej płyty na swoisty tryptyk przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

W ten sposób w rozdziale „92” Daria wędruje do swoich pierwszych i nieudanych miłości oraz wyrzutów wobec samej siebie. Czasem sięga aż do czasów licealnych, jak w otwierającym utworze, a niekiedy do dalszych okresów, jak chociażby w „Fifi Hollywood”, który z dużą dozą nadziei rozlicza się z przeszłością. W tym rozdziale również pojawia się kompozycja, która zachwyła mnie najbardziej na całej płycie – „Ballada o Niej”, będąca pożegnaniem z ukochaną babcią, a która wywoła liryczne ciarki na plecach niejednemu z was.

Rozdział „Pete Stop” to z kolei tu i teraz – suma szczęścia, ale i planów, jak to szczęście



Oktładka albumu w edycji „Backdoor”

wykorzystać („Z Tobą na chacie”), choć niepozbawione też pewnych niepokojów („Intro On”). Wieńcząca album część „Backdoor” to natomiast pieśń przyszłości i dużo „gdybania”. Tu lirycznie króluje „Supro” oraz kolejny emocjonalny killer – „Ballada znad rzeki”.

## Cudowne lata 90.

Zmiana w narracji na bardziej personalną wiązać się może też z roszadą przy stołku producenckim. Wieloletniego współpracownika Zawiałów, Michała Kusha, zastąpił Bartosz Dziedzic, pracujący w przeszłości, chociażby z Dawidem Podsiadło czy Arturem Rojkiem. Płyta brzmi świetnie, zabiegi zastosowane na długości czterdziestu minut trwania albumu są odpowiednio uwypukla-

ne, by raz skupić uwagę słuchacza na syntezatorach, niekiedy na bardziej wyrazistej perkusji oraz na – raz spokojniejszych, raz ostrzejszych – gitarach.

I to one właśnie, jak już zapowiedziałem na wstępie, wiodą prym na „Dziewczynie Pop”. Jest to znacząca zmiana względem poprzedniczki, bo na „Wojnach i nocach” królowały zdecydowanie syntezatory. Tym razem to właśnie sześć strun jest podstawą, natomiast Daria implementuje je w sposób odpowiednio zróżnicowany. Niekiedy żywiołowo generuje bardzo punkowy nastrój jak w szybkim i znakomitym „Złamane serce jest OK”. Czasem bazując na silniejszym reverbie wprowadza w klimat lat 90. rodem z płyt zespołu Garbage, jak w „Supro”. Artystka nie stroni również od akustycznych

klimatów, które nadają intymnego charakteru w „Balladzie znad rzeki”. Najbardziej agresywne riffy natomiast są w jednej z moich ulubionych kompozycji na płycie – „Bambi Sarence”, która miesza ostre gitarowe brzmienie i nieco „helsinki” tekst z diametralnie innym, dużo spokojniejszym refrenem. Dla mnie ten utwór to „Dziewczyna Pop” w pigułce.

## Pamiętnik podróżniczy

Dla świetnie implementowanych instrumentów oczywiście podstawą jest niezawodny wokal piosenkarki. Daria potrafi przekazać całą tonę emocji z różnego spektrum – od radości po przejmujący smutek – bez cienia zbędnej egzaltacji. Jej śpiew wydaje się na tyle lekki, by śpiewać o niewinnym zauroczeniu w „Balladzie Punk”, ale również by czuć celowe, chwytające za serce łamanie się głosu w „Balladzie znad rzeki”. A że potrafi również pokazać pazur, to potwierdza to w takich zawadiackich numerach jak „Złamane serce jest OK”.

Do tego momentu wylania się obraz płyty niemal doskonałej. I taka byłaby, gdyby nie pojedyncze przestoje w środku tej podróży. Bo tak jak początek i koniec „Dziewczyny Pop” to majstersztyk, tak niektóre elementy w środku przygody nieco kuleją. „Ballada Punk” dla przykładu nie do końca przemawia do mnie swoim sylabizowanym stylem oraz specyficznym rytmem, z kolei „Dziwna” jest dokładnie taka, jak wskazuje tytuł – czymś na peryferiach dream-popu, z niezłą synergią rozmaitych zabiegów, ale bez tego błysku, który charakteryzuje resztę albumu.

Ta mała łyżka dziegciu w beczce miodu niech jednak nie zburzy ogólnego wrażenia z tego albumu. „Dziewczyna Pop” ociera się o perfekcję i z miejsca stał się moim ulubionym albumem Darii Zawiałów. Owoc podróży – tej rzeczywistej oraz tej czasowej – znajduje swoją kulminację w zamykającym „Tom Yum”. Podnoszący na duchu beat oraz skoczny rytm wraz z warstwą liryczną stanowią swoisty pamiętnik z podróży, zamykający, ale pozostawiający pewne niedopowiedzenia. A te możecie wypełnić samemu, bo przecież każdy z pozornie tej samej odysei, może wyciągnąć inne wnioski. Spróbować z pewnością warto – być może sami odnajdziecie w sobie swoją wewnętrzną popową duszę.

Wiktor KĘPIŃSKI  
wikip@st.amu.edu.pl

# Płynąc pośród fal

Dwie osoby w zespole w zupełności wystarczą, żeby porwać do szaleńczej zabawy. Royal Blood udowadniają to już od jakiegoś czasu. Na „Back To The Water Below” oprócz czystej energii dostajemy też jednak, ukrytą pod nieco twardą skorupą, rock’n’rollową wersję duetu. Czy taka nieznaną wcześniej synergia przełożyła się na muzyczny triumf?

Trudno sobie wyobrazić, że Royal Blood na rockowej scenie zabawia nas już od prawie dziesięciu lat. Gdy w 2014 roku, również we wrześniu, duet z Brighton wydawał swój pierwszy album, wielu krytyków uznało ich za mesjaszy współczesnej muzyki rockowej. Określenie może i na wyrost, ale na czwartej już płycie w swoim dorobku Brytyjczycy udowadniają, że należą w pełni do rockowej ekstraklasy, a jednocześnie wracają do swoich, nie tak odległych, źródeł.

## Strefa komfortu

Od pierwszych nut „Mountains At Midnight” przypomina nam, gdzie jesteśmy. Klasyczne i nieco przybrudzone riffy gitary basowej Mike’a Kerra i żywiołowy rytm wybijany przez Bena Thatchera na brzmiejącej trochę surowo perkusji to kwintesencja Royal Blood. Otwarcie płyty nie jest tak dobre jak „Out Of The Black”, wprowadzające w pierwszy album duetu, ale tamtego osiągnięcia już raczej nie przebiją – i nie ma się czego wstydzić, bo i tak wejście do „Back To The Water Below” jest ponadprzeciętne.

W porównaniu z „Typhoons” sprzed dwóch lat, Royal Blood wrócili do nieokrzęsanej natury w swoich utworach. Wychodzi to zdecydowanie na dobre. Na poprzednim albumie Brytyjczycy próbowali miejscami bawić się elementami elektroniki i pomimo kilku dobrych momentów, implementacje te były raczej niepotrzebne. Tutaj prym wiodą basówka i bębny, ale wyjątkowo dużo do zagrania mają też klawisze.

Na początku „Pull Me Through” rytm nadaje pianino, żeby w refrenie najbardziej zbliżyć się do atmosfery debiutu. Z kolei w „High Waters” bardziej słyszalny jest keybo-

ard, a w bardzo chaotycznym, ale równie interesującym „Tell Me When It’s Too Late” przebijają się syntezatory. Dojrzućmy do tego pojawiające się w końcówce albumu skrzypce oraz wiolonczele i ni stąd, ni zowąd z dwóch instrumentów otrzymujemy dużo większe bogactwo, niż można się było spodziewać. Wszystko zbalansowane jednak w taki sposób, że dodatki nie zaburzają właściwego odbioru.

## Chwila skupienia

Powrót do korzeni nie może być przecież całkowity. Royal Blood przez ostatnie dziewięć lat dojrzało, o czym świadczy wspomniana różnorodność instrumentalna. „Back To The Water Below” ma również o wiele więcej momentów łagodnych. „How Many More Times” pomimo całkiem żywiołowego riffu zalicza się do jednego z tych spokojniejszych utworów, z akustycznym przejściem i delikatnym syntezatorem w tle. Niemal beatlesowską progresję słyszymy w „There Goes My Cool”, z akustycznym, sielankowym intro, które przeradza się w utwór całkiem bliski glamrockowym dokonaniom takich zespołów jak T.Rex czy Slade.

Od rozpadu The Beatles minęło już ponad 50 lat. Przez ten czas John Lennon i George Harrison odeszli na tamten świat, pozostawiając tylko Paula McCartneya i Ringo Starra. Jednak dzięki technice udało się ich „przywrócić do życia” w ostatniej piosence czwórki z Liverpoolu „Now and Then”.

Historia „Now and Then” rozpoczyna się w 1977 roku. John Lennon, pracując nad nowym materiałem, nagrywał demo swoich utworów na kasetach, przy użyciu boomboxa. Część z nich znalazła się potem na jego albumach, a część nie została wykorzystana, po tym jak zginął z rąk Marka Davida Chapmana 8 grudnia 1980 roku. Śmierć Lennona przekreśliła szansę na powrót Beatlesów – przynajmniej tak się mogło wydawać.

W latach 90. Paul, George i Ringo spotkali się ponownie, pracując nad projektem „Anthology” – trzyczęściowym wydaniem, zawierającym niewykorzystane podejścia do ich starych utworów. Przy tej okazji postanowili także nagrać nowy materiał na bazie kaset Johna, które podarowała im wdowa po Lennonie, Yoko Ono. W ten sposób powstały piosenki „Free As A Bird” i „Real Love”, które pojawiły się w pierwszej i drugiej części „Anthology”. Yoko dała także Beatlesom kasetę z „Now and Then”, na której miał znajdować się dopisek od Johna „Dla Paula”. Jednak piosenka nie pojawiła się w trzeciej części „Anthology”, gdyż słaba jakość nagrania utrudniała zrozumienie, co śpiewał John. Jak się miało okazać był to także ostatni raz, gdy George zagrał z Pauliem i Ringo – zmarł bowiem na raka krtani 29 listopada 2001 roku.

„Now and Then” stało się wówczas czymś w rodzaju lost media – ostatniego utworu, który jednak nie pojawił się na „Anthology 3”. Fani sami zaczęli tworzyć własne remiksy i legenda „Now and Then” zaczęła budować się sama. Jednak nadzieja na pojawienie się ostatniej piosenki Beatlesów zaczęła ożywać wraz z rozwojem sztucznej inteligencji.

### Inteligentna motylek muzyczna

Tą nadzieją okazały się nowe remiksy albumów Beatlesów, które zaczęły się ukazywać od 2017 roku. Pracował nad nimi syn producenta grupy, Giles Martin. Szczególnie ważne okazały się remiksy albumów „Let It Be” i „Revolver”, ze względu na wykorzystanie w nich technologii demiksującej, której współtwórcą jest reżyser filmowej adaptacji „Władcy Pierścieni”, Peter Jackson. Pozwoliła ona na dokładne oczyszczenie ścieżek z zakłóceń przy pomocy sztucznej inteligencji oraz na jeszcze lepszą ekstrakcję dźwięków

Nie oznacza to jednak, że i w tych bardziej klasycznych momentach zespół odrzucił eksperymenty. W „Shiner In The Dark” leniwy riff przeplata się ze zniekształconymi wstawkami rodem z dzieł Muse. Daleko temu utworowi do kunsztu ich rodaków (z którymi zresztą wyruszyli w trasę koncertową w tym roku), ale warto docenić ciekawy pomysł. Najbardziej nietypowa jest konkluzja albumu. „Waves” to bardzo melancholijny finał, z dużą dawką pianina, skrzęcający ostro w kierunku pełnoprawnej ballady. Tutaj też słychać najwięcej lirycznej melancholii, która przewija się przez sporą część albumu. Jest to swoisty lovesong (jedyny na płycie), ale przede wszystkim wołanie o pomoc i chęć polegania na kimś bliskim.

### Ukryte emocje

W „Waves” przekaz idzie w parze z nastrojem samej muzyki, ale na ogół na „Back To The Water Below” panuje spory dysonans. W pełnych energii i rockowego szaleństwa utworach, za zgrabnymi i podnoszącymi na duchu riffami kryją się intymne teksty. Mike Kerr przyznał w wywiadzie dla NME, że na tej płycie stworzył się jak nigdy wcześniej i to zaowocowało takimi piosenkami jak „Waves”. Podobny motyw zresztą znajdziemy w „Pull Me Through”, gdzie na pierwszym planie jest próba odnalezienia wewnętrznej siły, aby w ogóle wołać o pomoc. W „The Firing Line” słyszymy

## Lennon ożył dzięki AI



Oktadkę singla „Now And Then” autorstwa Eda Ruscha cechuje prostota, choć nie sprawia wrażenia singla Beatlesów

z piosenek. Stało się więc jasne, że dzięki temu można będzie wrócić do „Now And Then”.

Prace się rozpoczęły – wykorzystano nie tylko oryginalne fortepianowe demo Lennona, ale także partie nagrane w latach 90. Ringo i Paul dograli jeszcze nowe partie perkusyjne oraz gitarowe, w tym zagrane techniką slide (gra na gitarze za pomocą metalowej lub szklanej rurki założonej na palec, co pozwala uzyskać niesamowite brzmienie) solo, stylistycznie podobne do muzyki granej przez George’a Harrisona. Pierwsze sygnały o nowym utworze pojawiły się w wakacje, jednak na premierę trzeba było poczekać do listopada, najpewniej z powodu starej umowy między Beatlesami a The Rolling Stones, aby nie konkurować ze sobą pod względem dnia wydania – w październiku ukazał się bowiem najnowszy album Stonesów „Hackney Diamonds”. Kampania marketingowa rozpoczęła się bardzo krótko przed premierą – ostatnią piosenkę Beatlesów reklamowała oryginalna taśma, a w przededniu premiery na całym świecie można było obejrzeć dokument poświęcony powstawaniu piosenki, który z polskim tłumaczeniem udostępniło TVN24.

### Wielki, melancholijny powrót

O „Now And Then” już teraz można mówić w kategoriach sukcesu – The Beatles wrócili na pierwsze miejsce brytyjskiej listy przebojów, ustanawiając rekord różnicy między dwoma ostatnimi hitami, wynoszący 54 lata! Ponadto piosenka całkiem dobrze radzi sobie także w USA, gdzie wspięła się na ósme miejsce listy przebojów Billboard. I pomyśleć, że Beatlesom ta sztuka udało się, nawet mimo braku połowy składu oraz zmian gustów publiczności.

Sam utwór stanowi perfekcyjne zamknięcie muzycznego katalogu liverpoolskiego kwartetu. Starannie oczyszczony głos Lennona oraz jego partia fortepianowa wybrzmiewają z pełną mocą, przy akompaniamencie oraz chórkach pozostałych Beatlesów (wykorzystano tutaj także fragmenty innych piosenek zespołu). Nostalgicznie wybrzmiewa tu nie tylko tekst i fortepian, ale także smyczki i gitarowa solówka nagrana przez Paula, stanowiąca hołd dla Harrisona. „Now And Then” nie stanowi jednak rewolucji w brzmieniu Beatlesów i nie jest arcydziełem na poziomie uznawanej za najlepszą piosenkę zespołu „A Day In The Life”. Krytycznie

fani odnieśli się także do wycięcia części utworu, co należy jednak zrozumieć ze względu na to, że planowano nie nagrywać części piosenki już w latach 90. Mimo tych mankamentów jest to jednak naprawdę mocne i emocjonalne zwieńczenie kariery The Beatles. Bardzo dobrze wypadł teledysk nakręcony przez Petera Jacksona, w którym połączył on archiwalne nagrania zespołu z nowym materiałem, powstałym podczas prac. Teledysk podkreśla jednak nie tylko emocjonalną stronę związaną z końcem działalności The Beatles, ale prezentuje też to, za co zostali pokochani przez miliony: humor, muzykalność i dobrą zabawę.

„Now And Then” znalazło się także na nowym wydaniu albumu „The Beatles 1967-1970”, który ukazał się wraz z nowym wydaniem albumu „The Beatles 1962-1966”. Obydwie płyty przedstawiają najlepsze piosenki zespołu, które doczekały się najnowszego remiksu autorstwa Gilesa Martina. Na szczególną uwagę zasługuje drugi album, zawierający utwory z jeszcze nieodświeżonych płyt, które niedługo mogą się ukazać.

**Bartosz KABACIŃSKI**  
barkab1@st.amu.edu.pl

o znajdowaniu się „six feet under the sheets”, „Triggers” to rachunek błędów i rozliczenie z przeszłością. Oczywiście są też utwory trochę bardziej optymistyczne, ale wciąż z gorzkim tłem, jak przy alkoholowo-koncertowym szale w „Mountains At Midnights”.

Royal Blood często powtarzają, że ich sukces leży w wewnętrznej chemii. Gdy do tego dodamy swobodę kreatywną, wynikającą z posiadania własnego studia oraz możliwości swobodnej produkcji, to muzycy mogą zawędrować gdzie tylko chcą. Na „Back To The Water Below” uznali, że to dobry czas na restart. Niepełny, bo doświadczenie zebrane w ciągu prawie dekady na największych scenach świata procentuje i pozwala na pewne eksperymenty. Jednak na tyle znaczący, aby znów poczuć prawdziwy rdzeń duetu. Do zbawców rocka ciągle im daleko, ale utrzymywanie tak wysokiego poziomu przez tak długi czas, to też wielki wyczyn. A po tym albumie wiemy, że do wypalenia jeszcze daleko.

**Wiktor KĘPIŃSKI**



Oktadka „Back To The Water Below”

Czy nudną szkolną lekturę można przedstawić w ciekawy sposób na wielkim ekranie? Właśnie udowodnił to film „Chłopi”, który premierę miał 13 października. Pisząc, że nagrodzona nagrodą Nobla powieść Władysława Reymonta jest nudna, nie odnoszę się do rzeczywistego wyglądu tej powieści, a raczej do tego, w jaki sposób jest ona w szkole omawiana. Bez przymusu ze strony nauczycieli raczej niewiele osób przeczytałoby ją dla rozrywki. A jednak wersja filmowa dzieła nie tylko przynosi rozrywkę, ale skłania też do refleksji. A może i niejedną osobę zmotywuje do sięgnięcia po papierowy pierwowzór.

„Chłopi” to film w reżyserii DK Welchman i Hugh Welchmana, który jest polskim kandydatem do Oscara w kategorii Najlepszy Film Zagraniczny. Ten duet reżyserski otrzymał już raz nominację do Oscara za film „Twój Vincent”. Obie produkcje zostały zrealizowane tą samą techniką animacji malarskiej. O ile w filmie „Twój Vincent”, opowiadającym historię Vincenta van Gogha, poruszenie jego obrazów za pomocą animacji i ukazanie świata takim, jakim go widział, było zasadne, tak w przypadku „Chłopów” wybór animacji budzi pewne kontrowersje. Film został najpierw nagrany z udziałem aktorów, a następnie kadry namalowano i zmontowano na nowo. Czy zabieg ten był konieczny, czy podobny efekt można było uzyskać, zostając przy wersji aktorskiej?

### Animowana przemoc, romantyzowana wieś

Film „Chłopi” jest ekranizacją powieści o tym samym tytule. Pierwowzór to dzieło mające ponad 700 stron podzielone na cztery tomy, które odpowiadają porom roku. Nietrudno przyznać, że zekranizowanie tak obszernej historii w niespełna dwie godziny, bo tyle trwa film, nie jest możliwe. Stąd też decyzją twórców o skupieniu historii przede wszystkim na miłosnym trójkącie Jagny (Kamila Urzędowska) z Maciejem Boryną (Miroslaw Baka) oraz jego synem Antkiem (Robert Gulaczyk). Pierwszy ze wspomnianych Borynów to mąż Jagny, za którego została wydana przez matkę z powodu zaoferowanej ziemi. Drugi to kochanek głównej bohaterki. Ich namiętny romans napędza filmową historię.

Trzy wspomniane postacie są podstawą opowiadanej historii. Aktorsko wypadli bardzo dobrze, zwłaszcza Miroslaw Baka jako stary Boryna. Postać stworzona przez niego jest najlepiej zagrana w filmie. Niczego sobie jest też Robert Gulaczyk, który zagrał postać bardzo skomplikowaną, wewnątrz rozdartą. Antek, który wdaje się w romans z Jagną, oddaje się tej namiętności, mimo że ma żonę i dzieci, a na dodatek Jagna jest jego macochą. Na uznanie zasługują też niektóre role drugoplanowe – przede wszystkim Jagustynka grana przez Dorotę Stalińską, która wnosi bardzo dużo życia i humoru do filmu, a także Hanka Borynowa, żona Antka, w którą wciela się Sonia Mieliceja. Tej drugiej postaci przydałoby się więcej czasu ekranowego, bo jej przemiana jest bardzo pasjonująca. Niekoniecznie jednak zrozumiała jest decyzja twórców o zaangażowaniu do obsady Macieja Musiała i Julii Wieniawy. Nie wypadają oni dobrze i można wynioskować, że zaangażowanie mniej znanych z popularnych produkcji aktorów byłoby lepszym posunięciem.

Sama Jagna jest przepiękna i to właśnie stanowi jej przekleństwo. W filmie jest dość mało decyzyjna, jednak należy przyznać, że to postać ponadczasowa, która może być rozumiana nie tylko w kon-

## Bajkowa, brutalna wieś



Kadr przedstawia taniec Jagny z Boryną na ich ślubie

kieście dziewczyny z XIX-wiecznej wsi. Jest ona w pewien sposób inna, niepasująca do społeczności, w której żyje. To co ją spotyka, jest konsekwencją niezrozumienia ze strony otoczenia, ale czy bohaterka sama siebie rozumie? Młodo zostaje wydana za mąż za starszego mężczyznę, sąsiada, który oferuje ziemię. Pchana jest jednak przez pożądanie w romans z jego synem. To jak postrzegają ją inni mężczyźni, a jeszcze bardziej, to jak postrzegają ją kobiety, odgrywa kluczową rolę w finale opowieści. A finał jest brutalny. Przedstawiony w sposób animowany wydaje się nawet bardziej brutalny, niż gdyby była to aktorska wersja filmu.

Ten film to ekranizacja, od której ciężko oderwać wzrok. Przez pierwsze kilka, może kilkanaście minut trzeba się przyzwyczaić do sposobu animowania, jednak potem widz wciągany jest w tę historię. Najlepsze sceny to te, gdy wieś żyje i tańczy. Wesele Jagny i Boryny, taniec Jagny z Antkiem w gospodzie, a także wizyta kołédników – to porywające momenty. Towarzyszy im naprawdę niesamowita muzyka skomponowana przez L.U.C., czyli Łukasza Rostkowskiego i Rebel Babel Film Orchestrę, która sama w sobie zasługuje na Oscara.

Piękne malowane kadry inspirowane twórczością polskich malarzy, m.in. Józefa Chelmońskiego, przeplatają się z bardzo brutalnymi scenami bójk. Daje to naprawdę ciekawe odczucia, bo jednak w animacji niezbyt często można spotkać się z tak przedstawioną przemocą. A przemoc jest dużo. Z jednej strony sielankowa wieś, która

w filmie jest w pewien sposób romantyzowana, łączy się z często nieuzasadnioną przemocą. I tutaj należy zaznaczyć, że wybór animacji był dobrym posunięciem. Pozostawienie filmu w wersji aktorskiej nie wywierałoby takiego wrażenia na widzach.

### Czy pomagało AI?

Film zbiera dużo pozytywnych opinii, zdobył też już pierwsze nagrody. Wzbudza jednak wiele kontrowersji. Przede wszystkim został wybrany polskim kandydatem do Oscara, pokonując w głosowaniu „Zieloną granicę”, która również jest głośno komentowanym filmem. W uzasadnieniu decyzji sześciuosobowej Komisji Oscarowej pod przewodnictwem Ewy Puszczyńskiej, producentki m.in. filmów „Ida” i „Zimna wojna”, czytamy – „Autorzy «Chłopów» zaprezentowali kolejny imponujący film animowany, nie tylko powtarzając triumf «Vincenta», ale idąc znacznie dalej, osiągając nowy poziom dynamizmu w animacji, w którym kamera nie jest tylko obserwatorem, ale uczestnikiem. Film porusza ważne i wciąż aktualne tematy społeczne: opresję kobiet, ich zależność, a nawet przynależność do mężczyzny, przemoc seksualną, mobbing. To historia, która będzie zrozumiała na całym świecie, ponad granicami i podziałami politycznymi”. Po obejrzeniu filmu trudno się nie zgodzić z drugą częścią wypowiedzi, jednak artyści zajmujący się zawodowo animacją mają wątpliwości co do stwierdzenia, że jest to imponujący film animowany. Wynika to z faktu, że zastosowana technika nie jest niczym nowym, więc nie można mówić o rewolucji w animacji.

Zarzuty wobec sposobu stworzenia filmu przedstawił również jeden z czołowych polskich krytyków filmowych, Tomasz Raczek, który w poście na swoim Facebooku napisał – „Współpracownicy twórców «Chłopów» twierdzą, że w filmie malowana na płótnie była co 5 klatka a resztę roboty wykonała AI. Brzmi to logicznie i prawdopodobnie, bo zgadza się z wrażeniem, jakie odniosłem podczas projekcji w kinie. Swoją drogą byłby to ważny krok na drodze AI do zastępowania pracy ludzkiej przy realizacji filmów. Jeśli w «Twoim Vincentcie» było 12 malowanych obrazów na sekundę, a w «Chłopach» tylko 6 malowanych obrazów plus jeszcze aż 18 klatek na sekundę stworzonych komputerowo, to chyba rozumiem przyczynę różnicy w jakości filmowego obrazu w kinie. Wychodzi na to, że «Chłopi» to taki trochę produkt czekoladopodobny”. Szybko jednak do zarzutów odnieśli się sami twórcy, zaprzeczając, że do pracy przy filmie wykorzystywana była sztuczna inteligencja. Zaznaczają, że klatki do filmu malowało ponad 100 malarzy, a sam proces trwał wiele godzin i został w całości wykonany przez ludzi.

Mimo kontrowersji wokół filmu, najważniejsze jest jednak obejrzenie go i samemu ocenić czy jest to forma, która do nas trafia. „Chłopi” to opowieść o namiętności, konfliktach rodzinnych i uczuciowych. Nic w filmie nie zostało pokazane jednoznacznie. Nie jesteśmy w stanie podzielić bohaterów na dobrych i złych. Co najwyżej ich czyny możemy klasyfikować według tego rozróżnienia, ale i to nie jest takie proste, wiedząc, co bohaterami kieruje, jakie jest ich położenie i że niekiedy znajdują się w sytuacji niemal bez wyjścia. Jest to na pewno ogromny atut tego filmu. Nie słyca on powieści, a daje do myślenia i niesie za sobą pewien uniwersalny przekaz, który rozumiany będzie nie tylko na polskim podwórku, ale i poza nim.

Izabela TOMASZEWSKA  
izatom4@st.amu.edu.pl

## Cukierek albo psikus!

Animecon to konwent odbywający się corocznie w okolicach Halloween w Poznaniu, skierowany głównie do miłośników anime, mangi i kultury japońskiej. W tym roku event odbył się w weekend przed tytułowym świętem, czyli 28 i 29 października. Jak zwykle główną lokacją wydarzenia było Liceum Ogólnokształcące Mistrzostwa Sportowego im. Poznańskich Olimpijczyków na osiedlu Tysiąclecia 43.

Chociaż konwent Animecon przewidziany był na dwa dni, to jednak zdecydowana większość głównych atrakcji odbyła się w sobotę – konkurs na najlepszy cosplay, występy idolek, czy koncert NanoKarrin. Wydarzenie

w niedzielę trwało też zdecydowanie krócej, bo tylko do godziny 16, chociaż większość sprzedawców na konwencie zaczęła zbierać swoje rzeczy już po godzinie 14. Jednakże bilet na niedzielę (40 zł) był o wiele tańszy niż na sobotę (79 zł), więc nie odczuwało się braku zainteresowania ze strony odwiedzających, korytarze były wypełnione ludźmi. Było zupełnie inaczej niż rok temu, kiedy ostatniego dnia konwentu nie było na nim prawie nikogo.

### Cosplay ze strażą miejską

Największym zainteresowaniem, jak to zwykle bywa, cieszył się konkurs cosplayowy. Konkurs ten na Animeconie jest zawsze wyjątkowy, gdyż jest zdecydowanie więcej kategorii niż na innych tego typu eventach. Szczególnie wyjątkową jest kategoria Halloween – w której mierzą się stroje o tematyce tego straszego święta. Reszta kategorii jest

jednak dość typowa dla tego typu konkursów. Głównym zwycięzcą na Animeconie Halloween została cosplayerka bohaterki Klee z gry Genshin Impact. Drugie miejsce przypadło osobie przebranej za Reiju z anime „One Piece” w sukni ślubnej w wersji Halloweenowej. Najlepszą scenkę (pokaz) wygrała ekipa z serii „The Owl House”.

Nie zabrakło jednak incydentów w trakcie przedstawienia. Jednym z nich był moment, gdz w którym w trakcie pokazu rozpadł się rekwizyt cosplayera War Devila z serii Chainsaw Man. Odłam elementu poleciał w stronę jury i uderzył z wielkim impetem w głośnik. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a cosplayer mógł po wzięciu paru oddechów raz jeszcze spróbować sił w pokazie. Innym wydarzeniem, które wzbudziło zamęt wśród widowni i samych uczestników, był nagły nalot straży miejskiej w trakcie wydarzenia. Nie weszli oni co prawda na scenę, ale urządzili sobie swój własny pokaz na parkingu – masowo wręczali mandaty za złe parkowanie. Niestety niektórzy uczestnicy Animeconu wrócili z niego do domu z niemłą pamiętką.

### Atrakcje towarzyszące

Na uczestników Animeconu czekały jeszcze inne atrakcje, w tym m. in. możliwość skosztowania dość autentycznej azjatyckiej kuchni. Licealna stołówka zamieniła się w mini restaurację na czas wydarzenia. Można było spróbować różnych potraw, jednakże ich ceny były dość wysokie, za małą miskę ramen trzeba było zapłacić aż 30 złotych. Dla porównania za takie samo danie zapłacić mniej można w warszawskiej restauracji.

Jeśli już o wydawaniu pieniędzy mowa, to można je było spożytkować w hali wystawców – do Poznania zawitało naprawdę wielu artystów z własnymi dziełami. Nie zabrakło jednak też takich osób, które sprzedawały przedmioty z Aliexpress po mocno zawyżonych cenach. Można było także wziąć udział w różnych prelekcjach, panelach, warsztatach, czy konkursach prowadzonych przez twórców atrakcji. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie, gdyż tematów było sporo – przez cosplay, anime i mangę, kończąc na grach i kpocie.

6 wygranych turniejów, 3. triumf we French Open, 23 sety wygrane 6:0 i 2. rok z rzędu jako numer jeden w rankingu WTA – tak w skrócie można podsumować sezon w wykonaniu Igi Świątek.

Aby zrozumieć zachwyt nad ponownym tryumfem Świątek, trzeba wrócić do początku tego sezonu. W najważniejszym turnieju z początku roku – Australian Open – Iga Świątek musiała uznać wyższość Jeleny Rybakiny w czwartej rundzie. Tym samym Polka nie obroniła punktów z 2022 roku, kiedy była w półfinale. Z kolei Rybakina awansowała ostatecznie do finału, w którym przegrała z Aryną Sabalenką. Dla Białorusinki był to pierwszy Wielki Szlem w karierze, czym udowodniła, że potrafi wytrzymać presję oraz grać na najwyższym poziomie przez cały turniej. Melbourne było szczęśliwe dla innej Polki – Magdy Linette. Poznanianka osiągnęła najlepszy wynik w karierze w wielkoszlemowych występach, dochodząc do półfinału. Po drodze do najlepszej czwórki pokonała rozstawioną z 16. Anett Kontaveit, 19. Jekaterinę Aleksandrową, 4. Carolinę Garcję oraz była liderkę rankingu Karolinę Pliskową. Linette została zatrzymana dopiero przez Sabalenkę (7:6, 6:2).

Pierwszy turniej WTA 1000 w Dubaju padł łupem Barbory Krejčíkové. Czeszka pokonała w finale Igę Świątek. W kolejnych dwóch turniejach tej rangi, Świątek broniła tytułów. W Indian Wells lepsza w półfinale znowu okazała się Rybakina, która tym razem wygrała finałowy mecz z Sabalenką. Z kolei w Miami Polka nie wystartowała z powodu kontuzji zębów, z którą zmagala się już na poprzednim turnieju. Magda Linette doszła do 1/8 finału, a na Florydzie triumfowała Petra Kvitová.

### Zmagania na mączce

Następnie najlepsze zawodniczki świata przeniosły się na ulubioną nawierzchnię Świątek – korty ziemne. Pierwszym ważnym turniejem były zmagania w Madrycie, gdzie liderka rankingu nie grała w 2022 roku, co oznaczało, że może tylko zdobyć punkty do rankingu. I udało się zdobyć ich sporo. Świątek znowu doszła do finału. Tym razem musiała uznać wyższość Aryny Sabalenki (3:6, 6:3, 3:6). Parę dni później rozpoczął się turniej w Rzymie, który Iga wygrała w poprzednich dwóch latach. Niestety znowu pojawiły się problemy ze zdrowiem. Z powodu kontuzji uda Świątek nie dokończyła ćwierćfinałowego spotkania z Jeleną Rybakiną, która ostatecznie triumfowała w stolicy Włoch. Kontuzja rasyznianki na szczęście nie była poważna i nie wykluczyła startu we French Open. Na paryskich kortach Świątek znowu grała znakomicie. Po drodze do meczu o tytuł liderka rankingu nie straciła żadnego seta, a cztery z nich wygrała do zera. Finał pomiędzy Polką a Karoliną Muchową był według wielu eks-

# Iga Świątek ponownie królową tenisa!



Iga Świątek straciła zaledwie 20 gemów w drodze po tytuł w WTA Finals

pertów jednym z najlepszych meczów w sezonie. Po prawie trzech godzinach Świątek cieszyła się z czwartego w karierze Wielkiego Szlema, a trzeciego na kortach Rolanda Garrosa (6:2, 5:7, 6:4). 22-latkę kolejny raz pokazała, że nie ma sobie równych w tym turnieju w ostatnich latach.

### Sezon trawiasty

Przez kolejny miesiąc zawodniczki grały na nawierzchni trawiastej, najmniej lubianej przez Świątek. Celem podopiecznej Tomasza Wiktorowskiego było przygotowanie do Wimbledonu i poprawienie swojej gry na trawie. Można śmiało powiedzieć, że Iga odrobiła lekcje. Londyński Wielki Szlem przyniósł zaskakujące wyniki. Do znakomitej formy wróciła Elina Switolina, która powróciła do rywalizacji po urodzeniu córki. Ukrainka po długim i emocjonującym meczu pokonała w ćwierćfinale Świątek (7:5, 6:7, 6:2). Dla Polki to i tak był najlepszy wynik w seniorskim Wimbledonie. W finale spotkały się Marketa Vondrousová, która pokonała Switoliną oraz Ons Jabeur – pogromczyni Jeleny Rybakiny i Aryny Sabalenki. Czeszka wygrała z Tunezyjką w dwóch partiach, odnosząc największy sukces w karierze.

### US Swing

Przed ostatnim szlemem w sezonie – US Open – zawodniczki rywalizowały w wielu turniejach w Ameryce Północnej. W turnieju WTA 1000 w Mon-

treau Iga Świątek doszła do półfinału, w którym drugi raz w sezonie przegrała z Jessicą Pegulą. Amerykanka triumfowała w późniejszym finale, kiedy zmierzyła się z Ludmiłą Samsonową. Podobnie dla Polki wyglądał turniej tej samej rangi w Cincinnati. Ponownie to Amerykanka zatrzymała Świątek, ale tym razem była to Coco Gauff. Dla 19-latkę było to pierwsze i jedyne zwycięstwo z Polką. Gauff, podobnie jak Pegula, po pokonaniu Świątek wygrała również w finale z Karoliną Muchową.

Na US Open Świątek jechała w nowej roli – jako obrończyni tytułu – i z dodatkową presją, że może stracić pierwsze miejsce w rankingu WTA. Niestety turniej w Nowym Jorku nie potoczył się po myśli Polki. W czwartej rundzie zbyt mocna była Jelena Ostapenko, która ma doskonały bilans w meczach z rasyznianką. Był to czwarty pojedynek pomiędzy nimi i za każdym razem zwycięsko wychodziła Łotyszka. Polka była bardzo spięta i nieskuteczna przy własnym podaniu. O tytuł walczyły Gauff oraz Sabalenka i to Amerykanka ostatecznie cieszyła się z najważniejszego tytułu w karierze. Białorusinkę pograżyły niewymuszone błędy, których popełniła aż 46. Mimo przegranej w finale Sabalenka została 11 września nową liderką rankingu, spychając Świątek na drugie miejsce.

### Finały i powrót na szczyt

WTA Finals, czyli turniej dla najlepszej ósemki zawodniczek i najlepszych ośmiu par deblu-

wych, odbył się w meksykańskim Cancun. Wybór tego miejsca wzbudził kontrowersje, ponieważ o tej porze roku nie ma dobrych warunków pogodowych w Meksyku do rywalizacji na najwyższym poziomie. Ponadto organizatorzy zbudowali stadion na ostatnią chwilę. W czasie trwania turnieju mecze były przerywane albo przekładane z powodu deszczu oraz silnego wiatru. Kibice mogli oglądać bardzo przykre obrazki, kiedy zawodniczki siedziały przykryte ręcznikami, a dzieci do podawania piłek miały problem, aby utrzymać parasole nad ich głowami. Nie była to prawidłowa promocja kobiecego tenisa i kobiecego sportu w ogóle. Organizacja prestiżowego turnieju w taki sposób nie przystoi WTA.

Zawodniczki starały się, jak mogły, ale niekiedy można było zauważyć ich frustrację. W fazie grupowej najlepiej zaprezentowały się Iga Świątek oraz Jessica Pegula, które wszystkie trzy spotkania wygrały 2:0. Oprócz nich do fazy pucharowej awansowały Aryna Sabalenka i Coco Gauff. Amerykański pojedynek zakończył się pewnym zwycięstwem Peguli.

Natomiast półfinał pomiędzy Igą Świątek a Aryną Sabalenką rozpoczął się 5 listopada, ale po trzech gemach został przerwany z powodu opadów deszczu. Spotkanie wznowiono następnego dnia przy stanie 2:1 dla Polki. Świątek od razu przełamała rywalkę, w kolejnym gemie obroniła break point, a następnie pewnie utrzymywała własne gemy serwisowe co dało jej zwycięstwo w pierwszej partii (6:3). W drugim secie rasyznianka przełamała Białorusinkę w trzecim gemie, najdłuższym w meczu, a potem kolejny raz cztery gemy później. Przy własnym serwisie nie miała problemów i pokonała liderkę rankingu 6:2.

W finale rywalką Świątek była wspomniana Jessica Pegula, która tak jak Polka nie straciła wcześniej seta. Pierwsze przełamanie miało miejsce w 4. gemie. Pegula popełniała sporo błędów, a Iga grała agresywnie i wykorzystywała swoje szanse. Obraz meczu w drugiej partii się nie zmienił. Świątek pewnie wygrywała swoje gemy i wywierała presję w gemach Amerykanki. W ostatniej akcji Pegula uderzyła w aut, a Polka mogła cieszyć się z pierwszego wygranego turnieju WTA Finals (6:1, 6:0). Zwycięstwo było dodatkowo istotne, ponieważ dzięki niemu Iga Świątek powróciła na pierwsze miejsce w rankingu. To drugi rok z rzędu, który skończył jako najlepsza tenisistka świata i to całkowicie zasłużenie. Świątek wygrała najwięcej turniejów (6) oraz miała najlepszy bilans meczów: 68-11. Oby kolejny rok był równie udany!

Kamil KWIATKOWSKI  
kamkwi3@st.amu.edu.pl

### Warto, nie warto?

Poznań to miasto, które wręcz słynie z różnorodnych eventów. Największym i najsłynniejszym z nich jest zdecydowanie Pyrkon. Poza nim mamy też PGA – Poznań Gaming Arena, Hikari oraz Animecon. Przy takiej liczbie wydarzeń nie jedna osoba może się zastanowić, czy w ogóle warto się wybrać na kolejny event organizowany w mieście doznań. Animecon jest zdecydowanie najmniejszym eventem z wyżej wymienionych, oferuje także najmniejszą liczbę atrakcji, a bilet wstępu jednak nie ma najniższej ceny (105 zł). Bilet na PGA, event organizowany na targach w najniższym progu, był prawie o połowę tańszy. Więc czy warto? Osobiście bawiłam się w porządku. Nie mogę powiedzieć, że był to mój ulubiony konwent w tym roku, ale nie był też najgorszy. Jeśli jest się z Poznania i ma się zapewniony nocleg, nie szkoda kupić biletu, chociażby na jeden dzień. Odradzałabym to jednak, gdyby trzeba było płacić dodatkowo za hotel – wtedy koszt zdecydowanie nie byłby adekwatny do jakości atrakcji.

Olga MICHALSKA  
olgmic3@st.amu.edu.pl



Plakat promujący wydarzenie

# Top Gear zjeżdża do garażu

Programy motoryzacyjne zazwyczaj kojarzą się z niszowym charakterem i przeznaczeniem dla wąskiej grupy entuzjastów samochodów. Jak pokazał jednak „Top Gear” z tego typu programu można stworzyć przynoszące miliony show, oglądane na całym świecie. Jednak w październiku BBC podjęło decyzję o końcu „Top Gear”.

Mimo iż większości z nas „Top Gear” kojarzy się z testami samochodów sportowych oraz ogromnym studio z widownią, początki programu były znacznie skromniejsze. Zaczął on bowiem jako typowy magazyn motoryzacyjny, prezentujący przystępne cenowo samochody oraz różne aspekty związane z bezpieczeństwem drogowym, nadawany raz w miesiącu na lokalnym kanale BBC Midlands w 1977 roku (roku później program trafił na główny kanał BBC). Już wtedy pojawiały się charakterystyczne elementy tego programu, takie jak czołówka z wykorzystaniem piosenki „Jessica” The Allman Brothers Band oraz testy aut. Pierwszymi presenterami byli Angela Rippon oraz nieżyjący już Tom Coyne. Przez lata prowadzący oraz ich pomysł na program się zmieniał, przez co raz był bardziej rozrywkowy, a raz informacyjny.

Szpecially rozrywkową formę „Top Gear” zaczął przybierać po dołączeniu do programu Jeremy’ego Clarksona w 1988 roku, który szybko zaczął prezentować swój charakterystyczny styl, opierający się na bezwzględnej szczerości, poczuciu humoru oraz ciekawych metaforach. Jednym z najbardziej znanych przykładów takiego podejścia była recenzja Vauxhalla (brytyjska wersja Opla) Vectry, w której obśmiał niejako tego samochodu. Lecz nawet Clarkson nie był w stanie powstrzymać malejącej publiczności i podobnie jak inni prowadzący wówczas program odszedł pod koniec lat 90. Część z nich założyła później program „Fifth Gear” nadawany w Channel 5, jednak Clarkson miał inny pomysł. Wraz z producentem Andym Wilmanem postanowił reaktywować show w zupełnie nowej formie.

## Złota era Clarksona, Hammonda i Maya

Reaktywowany „Top Gear” wrócił na antenę BBC w 2002 roku. Oprócz Clarksona program prowadzili także Richard Hammond



Charakterystyczny logotyp z kołem zębataym był jednym z elementów rozpoznawczych „Top Gear”

oraz Jason Dawe. Ostateczny skład prowadzących uformował się dopiero w drugim sezonie, gdy w miejsce Dawe’ego wszedł James May. Nowi prowadzący poprowadzili to show na szczyty globalnej popularności.

Element rozrywkowy odgrywał jeszcze większą rolę. Można było niekiedy odnieść wrażenie, że ogląda się trzech kumpi, lubiących auta i przy okazji wzajemnie sobie dogryzających. Z pewnością uwagę przyciągały także wyzwania, takie jak budowa łodzi na bazie samochodów oraz odcinki specjalne, w których trójka prowadzących wybierała się chociażby na Biegun Północny. W budowaniu popularności pomogło także zapraszanie celebrytów do rywalizacji na torze w „aucie za rozsądną cenę”. Nie można zapomnieć także o Stigu – tajemniczym kierowcy w białym kombinezonie (w pierwszych sezonach był to czarny strój), który ustanawiał jak najszybsze czasy okrążeń różnymi samochodami na torze testowym.

O „Top Gear” było też głośno z powodu kontrowersji. Prowadzący nie bali się wyrażać swoich opinii oraz robić sobie żartów praktycznie ze wszystkiego. Niektóre z nich szły jednak za daleko i wywoływały oburzenie, takie jak niesławne hasło „Berlin to Warsaw in one tank” z proponowanej przez Clarksona reklamy Volks-

wagena Scirocco. Jeremy był wielokrotnie ostrzegany przed dalszymi zachowaniami tego typu. Sytuacja, która doprowadziła do jego zwolnienia, miała miejsce w 2015 roku – Clarkson wdał się wówczas w bójkę z producentem z powodu zimnego obiadu. Zaproponowano kontynuowanie programu Hammondowi i Mayowi, jednak obaj odmówili i wraz z Clarksonem oraz Wilmanem przeszli do Amazonu, gdzie nadal realizują swój własny program „The Grand Tour”.

## Upadek giganta

Wraz z odejściem trójki prowadzących rozpoczął się upadek „Top Gear”. Nowi prezenterzy nie podolali zadaniu i nie prezentowali takich zdolności showmańskich, jak ich poprzednicy. BBC często ich zmieniano i dopiero w 2019 roku uformował się stały skład: Chris Harris, Paddy McGuinness oraz Andrew Flintoff. Problemem tej wersji „Top Gear” był przede wszystkim brak chemii między prowadzącymi oraz słaby poziom żartów. Dodatkowo zrezygnowano z odcinków specjalnych i przejazdów celebrytów, a wyzwania nie były już tak szalone jak poprzednio i niekiedy zaczęły się powtarzać. Nie sposób nie skrytykować także BBC, które lekceważyło problemy swojej kury znoszącej złote jajka oraz zignorowało protesty fanów chcących powrotu Clarksona i spółki.

Notowania i oglądalność z każdym sezonem spadały, jednak o zakończeniu programu nie przesądziły słabe wyniki, a zeszłoroczny wypadek Flintoffa, który miał miejsce podczas kręcenia najnowszego sezonu. Andrew odniósł obrażenia w wyniku dachowania, ekipa pogrzeżała się w chaosie, a Flintoff na pomoc czekał prawie godzinę! Po wypadku prowadzący nie pokazywał się publicznie aż do września, gdy został zauważony na widowni podczas meczu krykieta z wciąż poranioną twarzą. Wobec wypadku oraz doniesień magazynów brytyjski nadawca zdecydował się nie tylko nie tworzyć nowych odcinków, ale też nie emitować nagrań, które stanowiąby 34. sezon „Top Gear”.

Czy „Top Gear” powróci? Trudno przewidzieć. Z jednej strony historia pokazuje, że program wracał, z drugiej zaś czeka nas dość poważna rewolucja transportowa. Mowa tu nie tylko o wciąż budzącym olbrzymie emocje wycofaniu aut spalinowych i promocji alternatywnych napędów, ale także o rozbudowie transportu publicznego. Jeśli będzie to rzeczywistość za kilkanaście lat, to powrót „Top Gear” może być nieudanym pomysłem.

**Bartosz KABACIŃSKI**  
Barkab1@st.amu.edu.pl

# Dokąd zmierzasz Pudzianie?

Jest 28 maja 2022 – Mariusz Pudzianowski wychodzi do walki wieczoru gali KSW 70. Jego rywalem jest Michał Materla. Dla wielu jest to zestawienie zupełnie nietrafione. Bo kim jest „Pudzian” przy Materli? Zdaniem wielu, jedyne okazje dla Mariusza to potencjalne zatrzymanie rywala w parterze, a la walka z Jurasem lub luck punch. Innymi słowy – wykorzystanie warunków fizycznych.

Walka wyglądała jednak inaczej, niż wszyscy sobie wyobrażali. Cipao, jak mówi się na Michała Materlę, próbował w stojce, próbował obalenia, ale z mizernym skutkiem. Ta walka nie szła po jego myśli. A najgorsze dla Materli nadeszło przed drugą minutą rundy pierwszej. Pudzianowski trafił go potężnym podbródkowym, który zszokował cały świat. Były mistrz z nokautowanymi. W tamtym momencie wszyscy byli zachwyceni najsilniejszym człowiekiem świata – jego ciężką pracą, cierpliwością i wytrzymałością. Sam ex-strongman pewnie tamtej nocy pomyślał, że to może być początek jego najlepszego okresu w karierze zawodnika mieszanych sztuk walki. Tylko jeszcze nie wiedział, że mniej więcej za rok jego sytuacja będzie wyglądać zgoła inaczej.

## Wiele się zmieniło...

Minął ponad rok od tamtych wydarzeń. W tym czasie Mamed Khalidov zdeklasował Pudzianowskiego, a do tego „Pudzian” przegrał walkę z Arturem Szpilką podczas drugiej edycji Koloseum. Już nikt nie zadaje sobie pytania, czy Pudzianowskiego można zestawić w walce o pas wagi ciężkiej z Philem De Friesem. Za to obecnie coraz częściej zadajemy sobie pytanie, czy jego kariera ma jeszcze sens.

Patrząc na sytuację z boku, gdy nie bierzemy pod uwagę tego, że mamy do czynienia konkretnie z Mariuszem Pudzianowskim, widzimy 46-letniego zawodnika wagi ciężkiej, który ma za sobą 14 lat startów. W takiej sytuacji dość łatwo dojść do wniosku, że to już czas na koniec kariery.



Czy Pudzian jeszcze zatriumfuje?

Ale mówimy tu o Mariuszu Pudzianowskim. Nie tylko o zawodniku, sportowcu, ale też o dużym produkcie medialnym. Pudzianowski spopularyzował mieszane sztuki walki w Polsce i nie ma co do tego wątpliwości. Czy więc KSW jest gotowe na ewentualne odwieszenie rękawic na kolek przez „Pudziana”?

Wydaje mi się, że nie. Oczywiście dobrze byłoby wierzyć, że walki na wysokim poziomie sportowym zawodników jak Bartosiński, Ziółkowski czy Przybysz wyprzedawałyby największe areny. Ale jednak zawsze, gdy mamy do czynienia z dużą galą KSW, na karcie walk pojawiają się takie nazwiska medialne jak Pudzianowski czy Szpilka lub legendy jak Mamed i Materla.

## Jeszcze jedna walka?

Zalóżmy więc, że „Pudzian” zostaje jeszcze na trochę. I bądźmy realistami – mimo że Mariusz jest jak wino (a przynajmniej

tak wszyscy sądzili do walki z Khalidovem), to walki, które odbędą się w stanie policzyć na palcach jednej ręki.

Z kim więc go zestawić? Do pewnego momentu ciekawym zestawieniem wydawała się walka Pudzianowskiego z Danielem Omiełańczukiem. Omiełańczuk to nazwisko znane, dodatkowo zdarzyło mu się wypowiedzieć nieprzychylnie o byłym strongmanie. Do tego wszystkiego dochodzi kwestia sportowa. Daniel to legenda, ma za sobą świetną przeszłość, jednak jego forma od jakiegoś czasu pozostawia sporo do życzenia. Ale jak ostatnio się przekonał, odpowiednia motywacja pozwoliła mu doprowadzić się do porządku, przynajmniej sylwetkowo. Starcie to przestało być jednak realne po transferze Omiełańczuka do freak fightów.

Innym możliwym starciem dla najsilniejszego człowieka świata może być rewanż z Michałem Materlą. Mimo że Mariusz wygrał przez nokaut, to pół roku później Mamed Khalidov pokazał, że prawdziwa technika siły się nie boi. Czy więc Cipao byłby w stanie potwierdzić tę tezę, przy okazji zmazując plamę na swoim honorze? Bo w końcu wielu jest zwolenników teorii, że Materla wygrałby dziewięć na dziesięć walk z Pudzianowskim, a ich ostatnia walka to był wypadek przy pracy. Dodatkowej pikanterii dodałby fakt, że przy takim rewanżu na szali byłoby jeszcze więcej. Przegrana Michała Materli pokazałaby, że nie było żadnego przypadku w jego pierwszej walce z Mariuszem. Za to dla „Pudziana” druga przegrana z mniejszym gościem byłaby kolejnym ciosem w jego poziom sportowy.

Ale skoro mowa o rewanżach to może warto pomyśleć o tym, który rewanż Pudziana z Materlą zasugerował? Mam na myśli Artura Szpilkę. Jak wcześniej wspominałem, Pudzianowski przegrał z nim praktycznie wygraną walkę. I pojawia się podobne pytanie, jak w przypadku Materli. Czy „Pudzian” przegrał ze Szpilką przez jeden błąd?

Jak więc widać Mariusz Pudzianowski ma co robić w KSW. Oczywiście poza zestawieniami z zawodnikami federacji można jeszcze rozważać wyalazki takie jak Bombardier – i w ten sposób zbookować kolejne lata startów dla strongmana. Ta przystępna zmierza jednak ku końcowi, więc wypatrujmy kolejnych starć Mariusza. Można go lubić lub nie, ale na pewno należy oddać mu szacunek za wpływ na rozwój polskiego MMA.

**Paweł MAŃKOWSKI**  
pawman2@st.amu.edu.pl